

„Roosevelt i jego Ameryka“

Gdy bankierzy prowadzą bal...

Sztuczność amerykańskiej prosperity

Z książki Bernarda Fajla „Roosevelt i jego Ameryka“, która ukazuje się niebawem nakładem Tow. Wyd. „Rój“, w przekładzie polskim, znanej publicystki, Ireny Panenkowej, ogłaszamy poniżej charakterystyczny fragment, dobitnie malujący amerykańską gorącą spekulacyjną i sztuczną prosperity.

W Ameryce i w Europie zbyt uwielbiano wielkich finansistów, którzy prowadzili taniec prosperity, by móc ich nie zniecierliwić, gdy przyszła katastrofa.

Ich pewność siebie zdumiewała świat i, dopóki wiodła ludzi ku bogaceniu się, wydawała się szlachetną odwagą konkwistadorów. Gdy jednak stała się tylko oznaką zbliżającej się katastrofy, dopatrzono się w niej niezdolności arogancji i odczuto pragnienie sprawiedliwości, zemsty.

Zaczęto kpić z zasad, które powszechnie z wiarą ślepa i z wiarą rozumowaną praktykowano przez lat dziesięć. Ludzi ogarniał gniew na te zasady i na ich apostołów.

Wtedy to stał się sławny Karol E. Mitchell.

P. Mitchell to jest duży człowiek z dużym nosem i z dużymi prostymi ustami, wcale nie tłusty, ani ciężki, ani namaszczony, przeciwnie: gwałtowny, żywy, impulsywny. Ale nie jest to gwałtowność generała, żywioł jego nie ma nic młodzieńczego w sobie, jego impulsywność angażuje zawsze tylko jego interlokutora. Posiada on wszystkie zalety, cały blask i całą świetność komiwojażera, który, po zlikwidowaniu swojej tandety, miałby do sprzedania już tylko kopalnię złota i byłby pewny, że je sprzeda. Nie zdaje się wcale odznaczać wybitniejszą inteligencją, ani godną uwagi erudycją, ani szczególną zręcznością. I mogłaby wydawać się zupełnie niepojętą dziwna fantazja losu, któremu spodobało się jego to właśnie wynieść na szczyt finansowej potęgi, czyniąc go prezesem rady nadzorczej najbogatszego banku świata (National City Bank), gdyby w zestawieniu z innymi nie wypadłoby stwierdzić, że p. Mitchell posiada coś, czego pozbawieni są wszyscy inni: to jest wola, która uprawia, i ta gra mu wychodzi na zdrowie.

W Ameryce rady nadzorcze i zarządy pełne są poczciwców, którzy zazwyczaj wybili się pomalutku dzięki udziałowi w jakiejś wielkiej sprawie, i z tej wielkiej przysługi, do której zamieszana była

ich mała osoba, wynieśli wielką próżność i niezmierne znużenie. Najchętniej też wycofaliby się ze wszystkiego, ale przyzwyczajenie oraz instynkt gry, który trwa dłużej od przyjemności grania, sprawia, że grają dalej, choć nie spodziewają się już wygrać, nie pragną tego nawet, drżą tylko z obawy, że stracą, co niegdyś zyskali. Chorują na żołądek, na głowę, na młodość...

Impresarjo pieniądza

Gdy więc ludzie tacy znajdują się w obliczu tak hałaśliwego impresarja, jakim jest p. Charles E. Mitchell, który poprostu brutalnie zapewnia ich o tem, w co by wierzyć pragnęli, uwalnia ich od troski o przyszłość, oszczędza im tego cierpienia, z jakim się wiąże konieczność pojmowania ostatecznego celu i znaczenia własnych czynów, wówczas odczuwają dla niego skłonność, która może wyrosnąć aż do rozmiarów ukliwej wdzięczności i ślepego zaufania, jak miłość.

O tem, że Mitchell nie był inteligentny, miano się przekonać później. Ale miał inteligencję w tym zakresie, w jakim jej wymagała jego sfera. Dla niej to stworzył, szerzył, sławił głośną teorię spekulacji, która sama przez się tworzy dobrobyt, pomyślności, bogactwo. Bronił jej w Paryżu, w Ameryce zdobył dla niej mnóstwo adeptów. Jest zresztą święta. Spekulacja na zwykłe, twierdził Mitchell, polega na sprawianiu, by kurs akcji przemysłowych wykładał, to znaczy, by rosła ich wartość, to znaczy — by się bogacili ci, którzy je kupili. To jest oczywiste.

Tak bogaceni, posiadacze tych akcji, tem samem mogą ich kupować coraz więcej. Nie zagrzebują swoich pieniędzy, puszczają je w obieg, kupują sobie automobile, obrazy, domy, fonografy, wszystko czego dusza zapagnie. Rośnie w ten sposób klientela przemysłu, rozszerza się jego rynek. To jasne.

W ten sposób, spekulacja, wzbogacając spekulanta, wzbogaca przemysłowca. Nie jest to nabieranie, ponieważ ona istotnie tworzy bogactwo, jest dobrodziejstwem społecznym. W społeczeństwie bogate i silne jest niezbędne. Bez niej nie byłoby pieniędzy w obiegu, nie byłoby rynku dla przemysłu. Spekulant, według doktryny p. Mitchella, to istny filozof nowoczesnego świata.

ta, należałoby go wieńczyć kwiatami, wynagradzać jego obywatelskie zasługi, a przedewszystkiem nie zniechęcać go i nie hamować nigdy dobroczynnego rozpędu jego filantropijnej działalności.

Raj spekulacji

Spółeczeństwo słuchało tego, nieco osłupiałe, zlekka niespokojne. Dziennikarze reprodukowali te homelje, pełni uwielbienia. Oni to rozumie! Mitchell był przeciw ich człowiekiem, gdy w sumie stwierdzał, że mocą samego mówienia o bogactwie, tworzy się je. Rzecz naturalna w czasach, gdy słowo ma taką potęgę. Niegdyś rzeczy tworzyły i ludzie tworzyli swoje słowa, dziś słowa tworzą rzeczy i tworzą swoich ludzi. Od lat conajmniej stu pięćdziesiąt ciu dzieje się tak w polityce, dla czegoż nie miałyby się dziać tak samo w ekonomii politycznej i w finansach?

Niegdyś bogactwo stwarzało objawy bogactwa, jego zewnętrzny wyraz, tysiączne jego oddziały socjalne, słowne, administracyjne. Czemuż nie przyjąć, że dziś te oddziały skolei, ta ekspresja bogactwa, stwarzając jego objawy, stwarza w końcu realną jego istotę? W ten sposób, spekulując na zwykłe, tworzyliby się nowe bogactwa. Alleluja!

I Ameryka wraz z p. Mitchelllem śpiewała, Alleluja. Grała na zwykłe. W najmniejszych miasteczkach Stanów, w najbardziej zapadłych wsiach w głębi lasów, nad brzegami wielkich jezior lub w bagnach Luizjany, ludzie grali na zwykłe i chcieli przegladali tabelę giełdową. W miasteczkach francuskich, handlarz wołów po skończonym targu wstępował do kawiarni, by przejrzeć giełdę nowojorską. Stara markiza w swoich „dniach przyjęć“ miała na swoim stoliku, obok kart do bostona i wista, przysłany przez swego bankiera wykaz giełdowy do przejrzenia. Świat cały stawał na Nowy Jork i na miraż nowojorskiego bogactwa. A p. Mitchell w początkach jesieni 1929 tłumaczył Francuzom, że tak właśnie trzeba, że zasada perpetuum mobile w ekonomii politycznej została wynaleziona.

I w lecie 1929 sporo było ludzi, którzy już się zastanawiali serio, dlaczegooby istotnie tak być nie miało, i zaczęli wątpić o słuszności swojego wątpienia.

W jesieni zmieniło się wszystko.

Trust inwestycji

P. Mitchell i jego koledzy zbudowali wspaniałą maszynę, która miała robić złoto, i robiła je, ale nagle rozwała się, pozostawiając tylko masę brudnego papieru.

Potrąfili oni spekulować kilkakrotnie na tych samych papierach i pomnażać każdą zwykłą. Ponad anonimowymi towarzystwami i spółkami tworzyli jeszcze „Towarzystwa Inwestycyjne“. Rzecz ich było jedynie inwestować pieniądze, które im powierzono. Ale wydawały one także własne akcje. Gdy więc papiery, zakupione przez nie dla inwestycji, zwykływały, wówczas ich akcje zwykływały tak samo. Wystarczyło, by zwykła nastąpiła w jednym punkcie okręgu koła, ażeby wywołać echa zwykływa. Dowcipny pomysł: odbicie obrazu i objawu bogactwa, miało być dalej pomnażać.

Przez kilka miesięcy je pomnażało. Ale stan interesów przemysłowych, na których oparta była gwarancja tych papierów, zaczął budzić niepokój w społeczeństwie. Stracono zaufanie do „Towarzystw Inwestycyjnych“ i do ich akcji, opartych odtąd na pustce. Papiery te spadły po linii pionowej. Rzecz można, kamienie zrzucone z dachu. W ciągu paru tygodni, paru dni nawet, niektóre z nich, i to wcale nie najgorsze, spadły w stosunku 100 do 1, i nawet na tym poziomie nie można już było utrzymać.

Tworząc ruch, Mitchell nie zorientował się, że ruch ten idzie we wszystkich kierunkach, i że zwiększa znaczenie wszystkich oscylacji, finansowych, gospodarczych i socjalnych. I jak wiara w bogactwo starczyła, by tworzyć prawdziwe bogactwo, tak też i obawa ubóstwa starczyła do tworzenia prawdziwego ubóstwa i niszczenia prawdziwego bogactwa. Panika połączyła te nawet przedsięwzięcia, które wedle wszelkich danych, powinny się być utrzymać. Nawet bardzo solidne banki ulegały ruinie w ciągu paru godzin, wskutek absurdalnego, szalonego strachu publicznego, ogarniętej paniki. Jak zaufanie tworzyło prawdziwe bogactwo z niczego, tak teraz nieufność przemieniała prawdziwe bogactwo w nic. Nikt na to nie mógł poradzić. Banki waliły się jeden po drugim.

Śledztwo Senatu

Senat zaprosił bankierów, by

*) Investment Trusts.

mu wyjaśnić swoje metody działania. Oczywiście, nie był dla nich usposobiony najlepiej. Tembardziej, że sam był niepopularny i szukał kozła ofiarnego na swoje miejsce. Pomyślał wtedy o bankierach i w szczególności o p. Mitchellu, którego zaszczylił osobnym zaproszeniem.

Stanął przed Senatem.

Postawiono mu pytanie. Odpowiedział i ta odpowiedź stała się dekretem przeznaczenia.

Senatorowie, jak zwykle, wygłosili tyrady. Mitchell zabrał głos.

Słuchając go, senatorowie utworzyli szeroko naprzód oczy, potem usta. Gdy je w końcu przymknęli, nie posiadali się z radości: mieli ją w ręku, swoją zdobycz, swojego kozła. Charles Mitchell, ten golec, ten parszywiec...

Mitchell wyłożył swoje metody. Był ścisły, jasny, formalny i, jak zawsze, donośny, biedaczek.

Opisał więc metodę, jaką stosował, by nie płacić za wiele podatków. Jest w Ameryce ciekawe prawo. Każdy kapitalista płaci specjalny podatek od wzrostu wartości nabytego kapitału. Ma się go obowiązek zadeklarować i płacić się w stosunku do zysków. Ale ma się też prawo zadeklarować swoje straty, i wtedy podatki zostają stosunkowo zmniejszone. Na dowód wszakże, że się poniosło straty, należy sprzedać odpowiednie papiery i nie odkupywać ich w ciągu sześciu miesięcy.

Był to podatek od spekulacji, zupełnie słuszny w czasie, gdy cały naród amerykański bawił się w spekulację. Był to jednak podatek niebezpieczny, gdyż pozwalał ludziom złej woli urządzać się tak, by nie nigdy nie płacić. Wystarczyło w tym celu mieć paru przyjaciół i trochę zręczności.

Otóż p. Mitchell stał na czele tak wielkiego banku, że miał bardzo wielu przyjaciół, i zdaje się — szczegół wzruszający — z jego należała pośród nich do najlepszych. W 1929 — 1930, chcąc się uchylić od płacenia swego podatku dochodowego, sprzedał swej żonie ogromny pakiet akcji swojego własnego Narodowego City Banku: 180.000, wartości ogólnej, po 211 dolarów sztuka, 3.880.000 dolarów. To była piękna operacja i dała świetne rezultaty.

P. Mitchell tego roku nie miał żadnego podatku dochodowego do płacenia.

To jeszcze nie byłoby nieszczęście. Dużo ludzi robiło to samo co Mitchell. Ale on to wszystko Senatowi odpowiedział, a tego nikt inny nie zrobił. I Senat zatrząsał się cały. Pospały się przemówienia. I artykuły po dziennikach. I piosenki po kabaretach. Woda na młyn pamfletistów i propagandy komunistycznej. Znakomita sposobność dla demokratów do napaści na republikanów. P. Mitchella powołano do odpowiedzialności.

Zaraza oszustwa

P. Mitchell za dużo mówił. To był temat, na który o wiele lepiej byłoby milczeć. Tembardziej, że p. Mitchell owych akcji, odpredanych pani Mitchell, wogóle nie posiadał. Akcje te znajdowały się w zastawie u p. Morgana. Pani Mitchell ani ich nie kupiła, ani też za nie nie zapłaciła. W tych dwu punktach ubocznych, ale delikatnej natury, pierwsza deklaracja p. Mitchella była nieścisła. Z tego powodu miał potem wiele kłopotów.

Zresztą jego zeznania, złożone przed Senatem, nasunęły słuchaczom wiele innych jeszcze zarzutów.

Zdaje się, że p. Mitchell, jako prezes National City Banku pobierał jakieś 25.000 dolarów pensji rocznej. Ale pobrał w ciągu trzech lat 3 miliony dolarów w papierach.

Zdaje się, że gdy przyszedł kryzys, Mitchell i jego koledzy z zarządu wzięli z banku zaliczki, ażeby utrzymać swoje pozycje na rynku. Pozycja zwykła na rynku bankowym — to rzecz bardzo kosztowna. Kosztowało to istotnie wcale okrągłą sumkę, którą National City Bank zapłacił. Członkowie jego zarządu pożyczili sobie od niego tę sumkę i zapomnieli ją zwrócić. To bądźco bądź zrobiło złe wrażenie.

Zdaje się dalej, że bank, po nowej emisji swoich akcji, zmusił do subskrypcji swój personel urzędniczy, żeby zaś mu ułatwić spłatę, rozłożył ją na miesięczne raty, potrącając od poborów. Akcje te spadły niestety, a urzędnicy spłacali je długo jeszcze potem, gdy wartość ich stała znacznie niższą od sum, już za nie wpłaconych. To również nie zrobiło dobrego wrażenia.

A wreszcie okazało się, że National City Bank z wielkim rozgłosem i entuzjazmem rozrucił w społeczeństwie pożyczkę „peruwiańską“ w chwili, w której nie mógł nie wiedzieć, że „Peru nie płaci i płacić nie będzie“. Amerykański attaché finansowy w Peru zawiadomił o tem Bank, który go jednak nie słuchał. I umieszczono pożyczkę wśród swojej klienteli, która też potem stwierdziła, że wartość tych papierów sprzawadza się do zera. Rezultat tej rewelacji był opłakany.

Spółeczeństwo mogło przebaczyć Mitchellowi, że oszukiwał swój rząd: czynił to może z miłości dla swej żony. Spółeczeństwo mogło jeszcze, choć już mniej ławo, przejść do porządku nad bezceremonijną metodą, z jaką potraktowano drobnych urzędników National City Banku. Ale czego darować nie mogło, to kawałów, jakie Bank urządził samemu społeczeństwu. P. Mitchell został potępiony.

Stał się on symbolem arogancji i kłamstwa.

Stał się on symbolem złego bankiera. Bankier stał się symbolem zła.

Bankierzy przestali prowadzić bal.

J. Jukowski

MAŁY GARNIZON

POWIEŚĆ

— I dlatego pewnie te śluby wymyślałeś? — co? Ordynans uśmiechnął się.
— E, pan kapitan wie dobrze, że tak nie jest, ale mimo to mnie puszcza, bo to dobry bardzo człowiek.
— Masz rację — pomyślał Dalecki i zaczął się ubierać.

O godzinie, przeznaczonej na raporty, stawił się w dowództwie pułku. W poczekalni zastał kilku kolegów. Wszyscy witali go serdecznie, nikt, ani jednym słówkiem nie poruszył drażliwej dla niego sprawy. Obawy jego i przewrażliwienie na tym punkcie okazały się nieuzasadnione. Również dobrze przyjął go dowódca pułku. Po służbowym załatwieniu raportu, rozmawiał z nim pułkownik dłuższą chwilę, interesując się jego wszystkimi sprawami. W nadzwyczaj delikatny sposób napomknął wreszcie o domowych warunkach i Dalecki otwarcie i szczerze opowiedział o wszystkim.

Pułkownik namyślał się chwilę, wreszcie rzekł:
— Hm, widzi pan, panie kapitanie, z racji mego obowiązku, jako dowódcy pana, ale nie tylko z tego powodu, — jako człowiek wogóle, życzliwy panu, powinienem wypowiedzieć swoje zdanie. Otóż ono jest takie: osobicie nie jestem zwolennikiem załatwiania konfliktów małżeńskich w ten sposób, jak pan postanowił. Czasem ulega się pewnym, nie zawsze dostatecznie przemyślanym i niestwierdzonym dokumentarnie, że się tak wyrażę, po-

budkom i prędko wybiera się drogę najmniejszego oporu. A może da się to naprawić? Może to przejściowy okres, może zbieg okoliczności, może pozory tylko?

— Panie pułkowniku, dużo, bardzo dużo przemyslałem nad tem. Jeśli zostanie nadal tak, jak było, to zaręczę się całkowicie. A ja chcę pracować jak należy.

— A czy nie można pracować, gdy się ma nawet udrękę? Wazy się pan na wielki życiowy krok, moim obowiązkiem jest ostrzec pana. Bez względu na to, przedewszystkiem na tem, aby pełnił pan porządnie służbę, ale równocześnie chciałbym znaleźć rozwiązanie dla pana i w tej jego osobistej sprawie. Niech się pan więc dobrze zastanowi i przed formalnym załatwieniem niech pan jeszcze do mnie przyjdzie. Jeszcze raz powtarzam — tylko w wypadku, gdy pan absolutnie nie widzi możliwości dalszego współżycia, to wtedy, trudno, rób pan tak, jak postanowił. Narazie żyć panu pomysłnych rezultatów w pracy. Obejmie pan, naturalnie, swoją kompanję. Jestem z niej zadowolony i mam nadzieję będę nadal.

Pułkownik podał mu rękę.
— Dziękuję posłusznie, panie pułkowniku!
Dalecki wyprężył się w ukłon i wyszedł z gabinetu.
— Wyznaczyłem pana kapitanu na jutro do służby inspekcyjnego oficera. To tak, według tradycji, jak kto przyjeżdża, to mu się daje służbę. — uśmiechnął się adiutant pułku, któremu Dalecki przedłożył rozkaz wyjazdu i orzeczenie lekarskie.
— Naturalnie, wcale nie oponuję — odparł Dalecki — nawet jestem zadowolony.

Był wogóle zadowolony. Z otuchą i pełen dobrych myśli, skierował swe kroki do kompanji. W rejonie zastawiał się, z którym obszedł sale i zlustrował porządek. Przejrzał narazie pobieżnie, magazyny, a następnie

usiadł w kancelarii i zajął się czytaniem rozkazów, które zostały wydane w czasie jego nieobecności. Podczas tego informował się o różnych sprawach. Nagle zadunął na schodach kroki, powracającej z ćwiczeń kompanji. Do kancelarii wszedł por. Kamą i zameldował się. Forma meldunku mało miała służbowego charakteru, za dużo serdeczności było w słowach porucznika i kapitana.

Szef kompanji zarządził zbórkę i Dalecki wyszedł przywitać się z kompanją.

— Jak się macie, chłopcy! Czołem!

— Czołem, panie kapitanie! — zagrmiało w odpowiedzi, jak armatni wystrzał.

Rozjaśnione, uradowane oczy żołnierzy skierowane były na swego dowódcę. Przechodził on wzdłuż szeregu, pytając poszczególnych żołnierzy o to i owo. Odpowiadali śmiało, z uśmiechem. Wyczuwało się harmonję między nimi, a oficerem, wazjenną sympatję i zaufanie. A nie było w tem ani krztyny poufałości. Każdy, do którego zbliżał się, przężył się, jak struna, tylko oczy i ton głosu nie chciały poddać się dyscyplinie.

— Z każdej drużyny, jeden strzelec do kancelarii — rozkazał Dalecki i sam wyznaczył tych strzelców.

Następnie, po zebraniu się ich, zaczął w formie swobodnej pogawędki dowiadywać się o nastrojach w kompanji. Chodziło mu o to, czy nie zdarzają się przypadkowo jakieś wypadki dokuczania, czy też zniechania się podoficerów nad żołnierzem. Był prawie pewny, że nie ma tego, jak niema wogóle w pułku, ale z obowiązku pytał o to.

— No, powiedzcie, Borysewicz, ciężka służba? Dokuczka kto wam?

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dla polityczny i ekonomiczny); 6.66.63 (dla liter.-art.); 6.66.53 (miejscowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefon: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.65. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa.
PRZEDTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefina 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Czerwona 26, tel. 136.
PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe I. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., na 2-iej — 0,50 zł., na 3-iej — 0,30 zł., na 4-iej — 0,20 zł., na 5-iej — 0,15 zł., na 6-iej — 0,10 zł., na 7-iej — 0,05 zł., na 8-iej — 0,03 zł., na 9-iej — 0,02 zł., na 10-iej — 0,01 zł. (wzrosty powyżej 10 szpalt).
Dla reklam (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Drobne reklamy — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Notki po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczą się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Uciński.